

## HABIT I SUKIENKA

Słońce świeciło od samego rana. Była pełnia lata. W południe Matka Przeorysza wyszła ze swojej celi zakonnej i zeszła na dół, usiadła w wirydarzu. Tyle słońca, tyle zieleni... Bajecznie kolorowo... Pracowite pszczoły uwijają się wśród kwiatów, czasem przeleci motyl, no i ten wspaniały śpiew ptaków. W takich chwilach serce się wyrywa, pragnie się połączyć z całą naturą, by wielbić Stwórcę. Na trawniku ustawiono okrągły stolik pomalowany na zielono, obok wiklinowe fotele.

– Tak, to były dla nas bardzo trudne chwile – wyznała zamyślona. – Kazali nam się wynosić ze Lwowa. To był prawdziwy szok dla wszystkich sióstr.

Żyły przecież w klauzurze. Modliły się, pracowały. Wierzyły w swoje posłannictwo i w to, że w klasztornej ciszy swoim odejściem od świata w ważny sposób służą Kościołowi, a przede wszystkim nikomu nie wadzą. Nie mogły zrozumieć decyzji, która zapadła bez ich woli. No cóż, trzeba było jednak stawić czoła trudnościom. Nie załamywać się, chociaż znalazły się w bardzo smutnej sytuacji. Trzeba było przeszyć habit na sukienkę – i w drogę. Z odwagą, przecież był z nimi Pan.

Matka Jadwiga spędziła w klasztorze siedemdziesiąt lat. Wysoka, postawna, z laską. Wyglądała jak generał.

– Wtedy z tego Lwowa – kontynuowała swoją opowieść – pojechałam prosto do Katowic. Oczywiście do kurii. Tam zostawiłam wiadomość dla innych sióstr.

Tak się umówiły. Że jeśli będą przejeżdżać, wypędzone ze Lwowa, to umówione punkty pozwolą im nawiązać ze sobą kontakt. Żeby mogły na nowo się pozbierać i powrócić do życia zakonnego. Ich życia. Wszystko jednak było wtedy w rozsypce. Jedno, co je podtrzymywało na duchu, to nadzieja, że Pan ich tak nie zostawi. Ta nadzieja zawsze w nich żyła.

– Czasy były trudne – mówiła zamyślona – Trzeba było przede wszystkim znaleźć sobie posadę do czasu, kiedy będzie można kontynuować życie zakonne. Kiedy będziemy miały do czego wrócić. Przetrwąć ten czas wygnania i zakonnej bezdomności.

Wierzyła, że będzie to tylko czas przejściowy. Czas, który prędzej czy później się skończy, minie. Czas, jakiego wstępując do klasztoru klauzuruwego, nawet w najśmielszych myślach nie mogła przewidzieć.

Postanowiła wrócić w rodzinne strony. W jakimś sensie przecież za nimi tęskniła. Zawsze modliła się, żeby jeszcze zobaczyć góry, chociaż wiedziała, że jako siostra kontemplacyjna już na dobre się z nimi pożegnała. Była pewna, że rodzinnych stron nigdy więcej nie ujrzy. A tu masz... Niezbadane są wyroki Boże. Tak więc dane jej było ponownie zobaczyć Koniaków. Wspaniałe, zielone i łagodne Beskidy. No i – co najważniejsze – Opatrzność jej nie opuściła. Niespodziewanie otrzymała posadę nauczycielki w szkole w Rostoce.

– Wtedy we Lwowie, kiedy po piętnastu latach wyszłam za klauzurę, kręciło mi się w głowie – wyznawała w zamyśleniu, jakby w duchu przeniosła się do tamtej bolesnej chwili. – Autentycznie miałam zawroty głowy od tego ruchu ulicznego, od tych wysokich kamienic, od tego straszego hałasu i pośpiechu. Każdy gdzieś gnał w swoją stronę... Szłam ostrożnie, powoli, z szeroko otwartymi oczami, żeby nie zgubić się w tym chaosie wielkomięjskiego życia. No i pamiętam, że przystanęłam i obróciłam głowę, żeby po raz ostatni spojrzeć na klasztor.

– Czy naprawdę ostatni już raz widzę swój ukochany klasztor? – myślała.  
– To wszystko było jak zły sen. Nie chciało mi się wierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Uroniło się łezkę – dodała, przecierając oczy. – Ale przecież trzeba było jakoś żyć dalej.

W Rostoce, gdzie dostała posadę nauczycielki, było bardzo spokojnie. Zielone, łagodne Beskidy. – Jakie one są piękne! Aż coś w sercu się dzieje i jest się bliżej Pana Boga. Wysoko w górach – przysiółek.

Bardzo się jej tam podobało. Zwłaszcza ten przysiółek, tak na uboczu, z dala od „cywilizacji”. Było bardzo spokojnie i ludzie dobrzy. Kierownik szkoły mówił zawsze: „Dobrze mamy z koleżanką Heleną. Bo kto by tam na tej górze chciał uczyć?”.

To prawda, że trudno było znaleźć ludzi do pracy na takim odludziu. A jej się bardzo podobało. Wierzyła, że to Opatrzność nad nią czuwa. Że to sam Pan ją tam przyprowadził.

Z góralkami żyła nad wyraz dobrze. Mówiła o nich: „dobre gajdoszki”. Dzieci tak naprawdę była niewielka gromadka. Nie było trudno z nimi pracować. Posłuszne, zdyscyplinowane, pobożne. Garstka uczniów, więc można było wszystkich przepytac za jednym razem. Na świętego Mikołaja każdemu dziecku robiła prezent. Takie tam małe drobiazgi, ale cieszyły.

Kierownik szkoły, kiedy się widzieli, zawsze powtarzał, że drugiej takiej, jak koleżanka Helena, nie znajda. Kiedyś pół żartem, pół serio powiedział: „Gdybym nie był już żonaty, to koleżanka Helena byłaby teraz mężatką... Oj, gdybym ja był wolny...”. Rozbawiło ją to. Śmiała się, a w duchu tęskniła za chwilą, kiedy w końcu będzie mogła wrócić do klasztornej życia w klauzurze.

Niedaleko był Koniaków. Chodziła nawet na wesela, chętnie zapraszana. Wiadomo, nauczycielka. – A jakie tam wypieki robili! Nawet mężczyźni.

– Proszę sobie wyobrazić – wspominała z uśmiechem – że po tylu latach, aż do dziś, jedna góralka wysyła tutaj do klasztoru na święta pełny karton wypieków. Wiadomo, że ciasto się trochę po drodze połamie, ale to nic. Siostry mają po pełnym głębokim talerzu, a trochę i tak zostanie na później.

Wcześniej, we Lwowie, Matka (ksieni) mianowała ją przeoryszą.

– Trzeba będzie wracać – myślała. – Ale pora jeszcze nie nadeszła. Nie ma do czego wracać. Jeszcze wszystko niegotowe, siostry nie miałyby do czego przyjechać. Jeszcze trzeba trochę pobyc w tych ukochanych górach.

– Jak krzyże kazali zdejmować ze ścian w klasie, to uratowałam – wspomina. – Polecenie oczywiście wykonałam, zdjęłam – ale przewiesiłam na inną ścianę.

Nikt nie wiedział, że jest zakonnicą. Zakonnicom nie wolno było przecież uczyć wtedy w szkołach. A na emeryturę trzeba było jakoś zapracować.

---

Zakonnica jednak nigdy nie przestała być. Po obłóczynach nigdy nie przyszło jej nawet na myśl, że kiedyś trzeba będzie habit zdjąć. To, że przesyła habit na sukienkę – to była konieczność w tamtych czasach i okolicznościach. Śluby zawsze sobie ceniła i wiedziała, że ma tylko jednego Oblubieńca, którego dla nikogo nie porzuci. A pieniądze za tę pracę na etacie przydawały się jeszcze w tym czasie, kiedy rozmawialiśmy. Oczywiście były to grosze, ale bieda trwała dalej i każdy grosz się liczył. Bezgranicznie zaufała Bożej Opatrzności.